

1.

Znałam wszystko na pamięć. Trzypiętrowa kamienica o dwóch bramach wychodzących na dwie różne ulice, przecinające się pod kątem prostym. Przez jedną z tych bram wejść w bereg na głowie, drugą wyjść w chustce. Trzecie piętro, drzwi na wprost schodów. Dwa nazwiska: Alesz Dobrzansky, Emilia Fojtkova. Dzwonić trzy razy. W mieszkaniu będzie słychać włączony odkurzacz. Wyjmę z torby kopertę i wsunę ją pod drzwi. Nie puszczę jej, póki nie poczuję dwóch szarpnięć. Piętnaście sekund.

Zejdę drugą klatką schodową. W torbie na zakupy zostanie mi kilka rogalików i przydziałowa margaryna.

Gdyby się pojawiły kłopoty, muszę się pozbyć koperty.

Kłopoty się nie pojawią. Jeszcze nigdy się nie pojawiły.

Podniecająca gra, w której bezpiecznie przemieszczam się po bezpiecznej drodze.

Nawet nie musiałam się specjalnie koncentrować na zadaniu. Jestem dokładna jak automat, mam to we krwi.

Na rękach czułam chłód kropelek mżawki. Ale sweter, który mam zwinięty w torbie, założę dopiero po wszystkim.

Gdybym mogła zobaczyć się w lustrze, spostrzegłabym pewnie, że się uśmiecham. Przypomniałam sobie twarz Richarda w chwili, kiedy podawał mi kopertę. W oczach miał strach. Po raz pierwszy. Niech cię Bóg prowadzi, powiedział. Bardziej niż te słowa, podobne do modlitwy, poruszyła mnie myśl o tym, co nas dzieli. Richard jest ewangelikiem ze zboru braci czeskich.

Ja w nic nie wierzę.

Idę spokojnie, bez obaw, żadnych przeczuć, chociaż z natury jestem bojaźliwa i często miewam ataki paniki. Na szczęście szybko mijają. Te fale nagłego strachu nieźle dały mi się we znaki na egzaminach – przyspieszone tętno i spocone dłonie. Richard był wspaniałomyślny, zawsze cierpliwie przeczekiwał chwilę milczenia, która była mi potrzebna, żebym się mogła uspokoić. Nigdy nie dodawał mi otuchy, nie chciał mnie zawstydząć.

Chyba go zdumiewałam swoją sumiennością. Odkrył we mnie wyścigowego konia. Już na trzecim semestrze zaproponował mi funkcję asystentki i zaczęliśmy widywać się coraz częściej. Zanim się zorientowałam, już tonęłam po uszy w uczuciu, którego nie potrafiłam utrzymać w ryzach.

Jest mi pani bliższa, dziewczyneczko, niż mogę sobie na to pozwolić. Wyniosło mnie to na najwyższy szczyt świata, aż zaczęłam się dusić z braku tlenu.

Mąż innej kobiety. Ojciec dwóch synów. Powinno mnie to było sprowadzić na ziemię, ale nie sprowadziło. Dotarło do mnie, w jak niewielkim stopniu człowiek może o sobie decydować. Jakże beztrosko machnęłam na to ręką!

Cel mojej dzisiejszej wyprawy, trzypiętrowy dom, zobaczyłam już z daleka. Jego ścianę oblepiał krwawy bryzg, afisz z nazwiskami straconych. Rumieniec czasów. *Nauczyliscie narody mówić językiem motłochu* – Vančura. Rozstrzelany w odwecie za zamach na zastępcę protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha, razem z tysiącami innych „zakładników”.

Przez szeroką bramę wyszłam na ulicę, po której jeździł tramwaj. Majtałam torbę na zakupy, ostentacyjnie wystawał z niej rogalik.

Przemknęło mi przez głowę nieprzyjemne wspomnienie rutynowej spowiedzi przed Slavkiem. Kiedy już wszystko mu wyrecytowałam, przypomniał: asekuracja? Otychowicie z sute-reny, trajkotałam naburmuszona. Zrobiłam im zakupy, jestem ich kuzynką. Co się z tobą dzieje, Slavku? Nic. Robi się z niego pedantyczny sztywniak.

Otworzyłam drzwi i weszłam do kamienicy.

Usłyszałam kroki, jeszcze zanim go zobaczyłam. Schodził prosto na mnie po schodach.

Nigdy go nie widziałam, a mimo to go rozpoznałam.

Powietrze zgęstniało. Panika. Mam się rzucić do ucieczki? To by znaczyło: przyznać się. Stłumiłam szaloną myśl, że może nie udałoby mu się mnie dogonić albo może w ogóle nie zacząłby mnie ścigać. Rączka torby kleiła mi się do dłoni. Może właśnie dzięki temu zdołałam się opanować. Niosę zakupy, moja obecność tutaj jest uzasadniona, jestem jednym z lokatorów. Chciałam rozhuścić (beztrosko) torbę, ale sztywne ramię odmówiło mi posłuszeństwa.

Z nogami jest lepiej. Trzy stopnie w dół w kierunku drzwi, w których jest wizjer i które już są troszkę uchylone.

– Guten Tag – odezwał się.

Wydaje mi się, czy rzeczywiście ma obojętny wyraz twarzy?

– Guten Tag.

Doskonale sobie poradziłam.

Co robi, kiedy zacznę udawać, że otwieram drzwi?

Czuję na plecach jego wzrok. Czeka?

Wszystkie pory mojego ciała wypełniły się potem. Skalpel. Dlaczego nie wzięłam ze sobą skalpela? Kolejna szalona myśl.

W skupieniu liczyłam sekundy, ponieważ w irracjonalnej rzeczywistości, w której się znalazłam, z jakiegoś powodu było to ważne.

Gdybym miała wybierać: umrzeć w tej sekundzie albo obejrzeć się za siebie, wybrałabym śmierć.

Nic nie widziałam, oczy zalał mi pot.

Wbiłam palce w zbawienną szczelinę i poczułam, że jest prawdziwa.

Pot ściekał mi po twarzy, usta same się otworzyły.

Mężczyzna za moimi plecami głośno stąpa. Jego wolne kroki przejeżdżają mi przez mózg jak lokomotywa.

Weszłam do przestronnego, wyłożonego dywanem przedpokoju i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Wilgotnymi, zimnymi plecami oparłam się o framugę. Przede mną stało dwoje starszych ludzi. Gestem zapraszali mnie do otwartego pokoju.

– Co się dzieje? – zapytałam w sekundzie, w której odzyskałam głos.

– Dziś rano zabrali doktora Dobrzanskiego i panią Fojtkovą. Od tej pory się tu kręcą.

– Sprawdzają mieszkania?

– Na razie jeszcze nie – oboje jednocześnie uśmiechnęli się do mnie lekko.

– Widzieli państwo, że idę?

– Tak.

Żołądek podskoczył mi do gardła.

– Niech pani siada – powiedzieli jednocześnie.

Usiadłam w fotelu przy niskim stoliku. (...)

(...) Pod oknem na ławie siedziało to Jozowe чудо – Żenia. Niezgrabna dziewczyna, która cały czas się uśmiechała, a przy każdym uśmiechu robiły się jej w policzkach dołeczki. Chociaż byłam do niej z góry uprzedzona, spodobało mi się jej ubranie – skrzyżowanie stroju ludowego z kreacją prosto z rewii mody. Miała sukienkę ze zgrzebnego materiału z szerokim wyszywanym pasem.

Podaliśmy sobie ręce.

Podanie ręki dużo mówi. Uścisk Żeni był niekobieco mocny. Patrzyła na mnie nieśmiało, ale nie zdołało mnie to zmylić. Oglądała mnie jak jakiś eksponat.

– Żenia cię ubierze.

Oburzyłam się. Niby dlaczego Żenia miałaby mnie ubierać? Jasną, skromną sukienkę, w której przyjechałam i w której w tym zapadłym kącie spokojnie mogę iść do ślubu, założę sobie sama.

Żenia gdzieś pobiegła.

Joza nalał mi do glinianej misy ciepłej wody do mycia. Wracaliśmy wczorajsze przeżycia. Poczucie dumy, z jakim pokazywał mi drewnianą wygodkę, do której wchodziło się z szopy. Wejście do niej obłożone było pociętym drewnem. W rogu stała ogromna skrzynia pełna trocin.

Kafle grzały, na stole stały kubki z herbatą, pośrodku plecionka z chlebem i dwoma rogalikami. Rogaliki były dla mnie.

Ledwie zdążyliśmy zjeść śniadanie, Żenia już była z powrotem. Niosła wiklinowy kosz. Joza odetchnął z ulgą i zniknął. Zawartość kosza znalazła się na ławie. Usłyszałam, że są to kostiumy z kółka teatralnego.

– Możesz sobie wziąć perukę i tę sukienkę albo welon i to. Wyjaśnić Żeni, że nie wybieram się na bal przebierańców, byłoby chyba stratą czasu.

– Dziękuję, mam całkiem odpowiedni strój.

– W tym się nie możesz pokazać.

– Dlaczego?

– Głównie przez te włosy. W domu możesz nosić to – podała mi dwie chustki, jedną niebieską z wyszywanym brzegiem, drugą beżową, też haftowaną. – Aż ci odrosną włosy.

Na razie rosłam ja sama.

Dostałam się w tryby jakichś idiotycznych tradycji dzikiego plemienia, dla którego prawo do indywidualności to pojęcie bez treści. Wybrałam welon, bo wydał mi się bardziej dziwaczny. Wyglądałam w nim jak wystraszona nimfa.

Podejrzywałam, że to dopiero początek błazenady, i nie myliłam się. Rozum doradzał mi, żeby uwierzyć Żeni na słowo.

Dzięki temu gładko przeszłam przez miejscowe obrzędy oraz przecierpiałam uroczystość ślubną, pod wieczór zaś koszmarne przyjęcie z pijanymi prostakami w żelarskiej gospodzie. Rozdwoiłam się i stałam się biernym obiektem zainteresowania weselników, a zarazem zdziwionym widzem.

Już kiedyś zdarzyło mi się być w podobnej sytuacji, dokładnie mówiąc jeden raz, kiedy zmarła moja babcia, a rodzina urządziła stypę.

Docierały do mnie jakieś wibracje, które rozrywały mi tkaniki, chwilami słyszałam je jako wysoki ton. W miarę tego, jak częstotliwość drgań się nasilała, dźwięk przechodził w błyskawiczny świst skalpela. Potem miara się przebrała, a ja prze-

stałam reagować na cokolwiek. Wiedziałam, że skalpel przemknął swoim torem, wiedziałam, że drganie trwa nadal, ale już gdzieś poza moim ciałem.

Rozcięcie nie pozostawiło śladu.

Nieobecna duchem, spokojnie się rozglądałam i obserwowałam przedziwny rytuał. Jak zawsze pociągały mnie twarze. Niektórzy górale mieli urodziwe, surowe rysy, inni mieli wygląd prostacki i nieociosany.

Ich zainteresowanie moją osobą było całkowicie powierzchowne. Przyjęli mnie jako – nie tak znowu wyjątkowy – dziw natury, obiekt chwilowego zainteresowania.

Weselna gorzałka miała dla nich o wiele większy urok.

Na moje wesele zeszła się chyba cała wieś. Kościół i gospoda były zapchane po brzegi. Wychodziłam za mąż w miejscu, gdzie przed wiekami stał się cud – objawiła się tu Maria Magdalena.

Coś z kobiety pokutnicy miał też żelarski ksiądz.

W gospodzie zauważyłam dwóch wyrostków. Żaden z nich nie włączył się w ogólnie panującą wrzawę. Obaj siedzieli na boku i wpijali we mnie wzrok. O dziwo, nie wydało mi się to ani natrętne, ani nieprzyjemne.

Zapytałam Jozę o ich imiona. Dwaj odmieńcy, jak się o nich wyraził, nazywali się Vratislav Lipka i Vojta Juriga. Czym odbiegali od normy, tego mi nie zdradził.

Lipka był sierotą, dzieckiem całej wsi, Vojta był synem przystojnego górala Pavla. Nie odziedziczył po ojcu wyjątkowej urody, za to z jego twarzy wyczytałam siłę, której lepiej nie wchodzić w drogę.

Około północy chwiejnym krokiem wyszłam na ostry, ale orzeźwiający wiatr. Joza musiał stać do kogoś przypijając, lecz nie wyglądał na pijanego. Okolica, nocą odmieniona nie do poznania, sprawiała nierzeczywiste wrażenie.

W chałupie nieboszczyka Manka do tej pory grzał piec i herbata była jeszcze letnia.

Siedzieliśmy obok siebie na ławie, lampa naftowa zakreślała na blacie stołu czarodziejski krąg, napięcie między nami wzrastało. Moglibyśmy tak przesiedzieć do rana. Postanowiłam działać.

Chwyciłam Jozę mocno za rękę i poprowadziłam do izby. W jasnej ciemności górskiej nocy przebrałam się w nocną koszulę, a potem ściągnęłam ją przez głowę. Sięgnęłam do źródła swej największej siły: zdolności okiełznania buntów. Uratowałeś mi życie, dobrze, nie odmówię ci nagrody. Przeniosłam wzrok na zwieszony wzdłuż ciała łańska Jozy i nałożyłam sobie koronę męczennicy. Położyłam mu dłonie na ramionach. Jego uporczywe spojrzenie zniechęcało mnie, a do pewnego stopnia również przerażało. Odetchnęłam głęboko. Na ścianie zegar z kukułką, prezent ślubny od Jurigi, tykaniem odmierzał zdziczały czas.

Spojrzenie Jozy było nie do zniesienia. Po raz pierwszy w życiu i, jak się okazało, po raz ostatni, odczuwałam niemożliwy do opanowania wstręt. Narastał we mnie jak rak.

W końcu kamienna twarz nade mną drgnęła.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Przeszedł mnie dreszcz. – Byłem ci niewierny.

Ze wszystkich rzeczy, które mógł powiedzieć lub zrobić, było to coś najbardziej okropnego. Nie wyszłam za mąż za głupca – wyszłam za szaleńca. Przebiegłam pamięcią dzisiejszy dzień.

– Dzisiaj przecież... – zająknęłam się.

– Nie dzisiaj. Dawno.

Podczas gdy próbowałam się upewnić, czy nie mam halucynacji, usłyszałam historię miejscowej dziwki Biety Latalovej, córki szynkarza. Widywała Jozę codziennie, lecz nie zwracała na niego uwagi, dopóki nie zachciało jej się włączyć go do swojej kolekcji. A że nie odpowiadał na jej zaczepki, pewnej nocy wlaźła mu przez okno prosto do łóżka.

Przez chwilę musiałam się skupić.

– To jest już za nami, Jozo – odrzuciłam przygodę Jozy na bok i zaczęłam myśleć o Richardzie.

Wymusiłam na twarzy głupawy uśmiech i pocałowałam go. Wzdrygnął się.

– Chcesz, żebym cię też pocałował?

To nie może być prawda!

Chyba skinęłam głową, bo przytknął mi do czoła suche, zacisnięte wargi. Ośmielony tym, że go nie odepchnęłam, całował mnie w sposób niewiarygodny. Przyciskał usta miękko do mojej twarzy. Wkładał w te swoje dotknięcia tyle uczucia, jakby miał do spełnienia jakąś misję.

Trwało to długo, ale nie tyle, żebym oprzytomniała.

Wpijałam wzrok w poruszające się cienie.

Jego łapy nie próżnowały. Jedna macka wpełzła mi na plecy.

Poczułam radosne, niszczące odrętwienie. Co się w nim może obudzić? Wiedziona irracjonalnym popędem, wyciągnęłam ramiona i zawisłam mu na szyi. Na chwilę uległam panice, kiedy objęła mnie druga macka.

Był zupełnie inny niż Richard. Przede wszystkim – niesamowicie nieśmiały. Wyrafinowana sztuka miłości zmysłowej była mu obca.

Zanim zdążyłam się z tym wszystkim oswoić i ułożyć to sobie w głowie, wskoczył pomiędzy nas Azor. Podświadomie oczekiwana pointa.

– Zawsze śpi mi w nogach – wydukał Joza – gdyby ci to przeszkadzało...

– Nie przeszkadza! – krzyknęłam.

Przez wpółotwarte okno zawiewał mi pod kołdrę zimny wiatr. Przytuliłam się do swojego męża, bo grzał. Odwrócił się na bok, a jego wolne ramię opadło na mnie jak skrzydło anioła.

Żelarska noc roztapiała się w perłowej szarości.

Następnego dnia scena się powtórzyła, potem znowu i znowu, aż któregoś wieczora nie ściągnęłam koszuli i czekałam, co się będzie działo.

Nie stało się zupełnie nic.

Spaliśmy w objęciach jak dwoje dzieci.

Kiedy w ten sposób odkryłam tajemnicę swojej nocnej koszuli, ogarnął mnie wstyd. Joza oddychał spokojnie pogrążony w głębokim śnie człowieka zmęczonego całodzienną harówką, a ja gapiłam się w jasny mrok i przedzierałam się przez swoje zmieszanie. Lecz nie dotarłam do takiej myśli, która by mnie uspokoiła.